Nr. 7. Rok I.



Cena prenumeraty
kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 11 Lutego 1871.

Redakcja
przy ulicy Berlińskiéj Nr. 11.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz & Co.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Przyszłość psychologji.

„Nie na tém rzecz polega, aby wszystko wiedzieć, lecz aby wiedzieć dokładnie to, co wiedzieć potrzeba do godnego życia i rozumnego działania.“

Sokrates (Xenophontis Memorabilia Lib. IVC. VI. 6).

Wszystko, cokolwiek wiemy, istnieje przedstawione w naszym umyśle. Nie możemy wiedzieć o czemś, lubić czegoś, pożądać czegoś, jeśli to coś w duszy naszéj nie ma odpowiedniego symbolu. Zatém cała ludzka umiejętność, wszelka wiedza, od wrażeń czysto zmysłowych aż do najsubtelniejszych kombinacji, filozoficznych i matematycznych, cały obszar uczuć, owa olbrzymia sieć sympatji i antypatji, wiążąca nas w rodziny i społeczeństwa, wszelkie odcienia i stopnie tych uczuć, od zwierzęcéj bojaźni i gniewu aż do miłości nieprzyjaciół i poświęcenia dla idei — wszelkie ludzkie pożądania i nadzieje, dążenia i walki, cierpienia i rozkosze, poniżenia i upojenia, niedołęztwo i natchnienia, przekleństwo i modlitwy — wszystkie czyny, od niemowlęcych ruchów do dzieł geniuszu zmieniających postać świata — cała nasza mowa, od pierwszego okrzyku dziecięcia do najszczytniejszych pomników poezji i wymowy — cały nasz przemysł, wszystkie wynalazki, od pierwszéj chaty z chrustu i pierwszéj kamiennéj siekierki, aż do dzisiejszych budowli i machin — słowem: wiedza, historja, sztuka, literatura i przemysł — wszystko to jest dziełem siły, którą nazywamy duszą.

Zakres więc objawów téj siły, nietylko że nie jest szczuplejszy pod względem treści, od zakresu objawów czysto fizycznych, ale jeszcze, nie należy zapominać, że wszystko to, co wiemy o tych ostatnich, jest tylko względną wiedzą naszéj duszy.

Oto jaka jest rozciągłość objawów siły, któréj wszechstronne zbadanie jest przedmiotem psychologji. — Jeśli odsuniemy na bok kwestje metafizyczne i teologiczne, dotyczące nadziemskiéj istoty duszy, jéj boskiego pochodzenia, jéj przeznaczenia w wieczności itd. itd. pozostanie nam jeszcze cały świat zjawisk pozytywnych, więcéj dotykalnych a mniéj eterycznych. Niech metafizycy i marzyciele bujają w sferach nadziemskich — my pozostaniemy tu, gdzie nam pochodnia obserwacji przyświeca, i niech będą spokojni — nie pobijemy się o nasze terytorja.

Przez wiele wieków nauka o duszy unosiła się na fali marzeń i objawień. Filozofowie zaprawiali na niéj siłę swéj fantazji, kapłani używali jéj za narzędzie swych widoków, migocąc kolejdoskopem przyszłych rozkoszy przed oczyma cisnącéj się gawiedzi a postrachem przyszłych katuszy utrzymując tłumy na wodzy. Było to rzeczą bardzo naturalną w czasach, gdy można było bezkarnie utrzymywać, że się ma stosunki z Istotą Najwyższą, że przez usta Sybilli przemawia Pan gromów i życia. — Pojęcia psychologiczne niegdyś wstrząsały umysłami. Przeczucie nieśmiertelności tworzyło bohaterów i wiodło na śmierć męczenników. — Taka w téj ludzkiéj nadziei była siła, taka potęga. Dziś, po wiekach ekstazy, przyszedł wiek zimnéj rozwagi; dziś badamy tajemnicę téj siły, z równą rozkoszą, z jaką niegdyś poddawaliśmy się biernie jéj natchnieniom.

Takie badania, taka nauka warta lepszéj przyszłości — i będzie ją miała, ale pod warunkiem zerwania z przeszłością, pod warunkiem zniesienia jarzma dogmatyzmu i filozoficznéj dowolności. Przyszła psychologja musi być nauką niezależną, samodzielną. Nauka o duszy powinna nam przewodniczyć na drodze do doskonałości, tu na ziemi, tak jak niegdyś kazała nam zapominać o ziemi, dla wiary. Dziś, jeśli nam potrzeba męczenników, to nie dla nieba, lecz dla ziemi.

Ktoby jednak sądził, że temi myślami podnoszę sztandar walki przeciw wierze i filozofji, ten byłby w błędzie. Nie napadam, lecz bronię. Jeżeli żądam swobody dla psychologji, to niemniéj uznaję wolność wiary i myśli.

Czy podobna, ażebyśmy pozostawili psychologję w rękach ludzi, którzy powiadają, że kwestje duszy są

przedmiotem wiary i nie powinny być przedmiotem badania, którzy idą za zdaniem wielkiego ojca kościoła, Tertuliana: „My od czasów Jezusa Chrystusa nie potrzebujemy żadnéj ciekawości; wszelkie badania są zbyteczne, skoro mamy Ewangelję. My nawet nie powinniśmy szukać prawdy poza nauką Chrystusa. „Chrześcijanin nie ma badać, lecz wierzyć“*).

Z drugiéj strony czyż możemy nazywać psychologami owych ideologów, którzy sądzą, że kombinując wyrazy w systemata filozofji. na téj lub owéj zasadzie, skupiając pewną liczbę mniéj lub więcéj dowolnych poglądów około pewnéj mniéj lub więcéj oderwanéj prawdy, można stworzyć naukę, zapewnić postęp wiedzy.

„Cała nasza wiedza, mówi Fichte — który krytycyzm Kanta i sceptycyzm Hume'a rozwinął w najczystszy idealizm — cała nasza wiedza jest tylko obrazem; ja jestem tylko obrazem, rzeczywistość jest tylko snem cudownym, który wskazuje istnienie świata, którego niema, duchowi, którego niema; jest to marzenie marzenia!!... I rzeczywiście bardzo to piękne jako marzenie, ale wprowadzając w naukę takie sposoby rozumowania, będziemy musieli uznać za powagę psychologiczną wszystkie bajki naszych nianiek, wszystkie klechdy naszego ludu. — Albo też pozostanie nam rzucić się w objęcia filozofji Schoppenhauera, który w przystępie mizantropji wyrzekł był zdanie, że „największém nieszczęściem w życiu jest samo życie, a największém szczęściem: śmierć“.. Gdyby to można jeszcze wierzyć tak jak Dekart lub Spinoza, że „prawdą jest wszystko to, co się nam jasno przedstawia w umyśle“, że „duch nasz będąc cząstką ducha doskonałego, wraz z nim posiada doskonałość i nieomylność!“ Wówczas, gdyby nam kto zarzucił, że są zdania wprost naszym przeciwne, mające żarliwych apostołów, którym się równie jasnemi, jak nam nasze wydają, odpowiedzielibyśmy z Dekartem dobrodusznie: „jest to niemożliwém ponieważ taka omylność sprzeciwia się idei Boga, który nam nie na to dał władze umysłowe, ażeby nas oszukiwały, lecz ażeby nas doprowadzić do poznania prawdy“**). Bodaj to być nieomylnym!..,

„Filozof prawdziwy (mówi Trentowski) jest najwszechstronniejszą biernością i najwyższą czynnością w jedni; zna i tworzy wszystkie nauki“***). Co do nas dziękujemy za tę przysługę: dziś już, nie tworzy się nauki. Dziś można tylko tworzyć odę lub sielankę, obrazek lub piosenkę — wiedzę, trzeba wydzierać faktom. Powinniśmy złożeczyć duchowi przeszłości. który tak potężne umysły uwikłał w sieć dziwacznéj frazeologji i dla pozytywnéj wiedzy zatracił. Nam żal tych silnych inteligencji, które nie mając realnéj podstawy doświadczenia, bujały po wszechświecie idei, puszając myśli samopas, nam żal tych pysznych zamków na lodzie. — Nie mniéj jednak wyrzekamy się téj spuścizny, i choćby nas nazwano marnotrawnymi synami, będziemy znosić cegiełki do nowéj budowy, któréj plan da nam wiedza pozytywna, nauki przyrody i liczby. Przyszłość nie będzie potrzebowała burzyć tego, co my zbudujemy. Nam potrzeba robotników, a wy, panowie filozofowie chcieliście być królami zamków, zanim jeszcze ręka robocza fundamenta położy i mury wzniesie. Rozwiązaliście zaś wszystkie kwestje według swego widzimisię, według temperamentu i usposobienia, ten na korzyść ducha, ów na korzyść materji, ten na chwałę absolutu, ów na chwałę nicości, ten rozciął ostrzem pióra wielki węzeł istnienia, ów stnienia, inny wreszcie istnostnienia; ten wytłomaczył powstanie wszechświata z nicości, ów wyjaśnił trójcę w jedności. Ten lub ów nie bez talentu rozwijał tajemnice zagrobowe, widział w świecie harmonję albo chaos, dowolność albo przeznaczenie, dzieło Boga lub szatana itd. itd. a wszystko to wiedział albo wprost od Istoty Najwyższéj albo też wysnuwał pajęczynę filozofji z wnętrzności własnego ducha. Wszystko co można było powiedzieć o duszy, powiedzieliście. Jest ona i czemś wprost przeciwném i czemś zupełnie tém samém co materja, jest rozciągła i nie zajmuje przestrzeni, jest cząstką Boga i sekrecją mózgu, jest niezależna od ciała i nie ma jéj bez fosforu. Równie dokładnie znacie jéj siedlisko: styka się ona z ciałem tylko w jednym punkcie (Dekert-Lotze. Fick) — czy to dotykając się koniuszczkiem idei, owéj wiekopomnéj Dekerowskiéj szyszki, czy też innego wybranego punktu — rozpościera się tylko w mózgu wielkim, jak chce Büchner, albo też w całém mózgowiu jak chcą Gall i Spurzheim — po całym układzie nerwowym jak chce Fischer — po całém ciele jak chce Ennemoser — nawet każde centrum nerwowe ma osobną duszę, jak chce Pflüger — nawet każda cząstka pokrajanego polipa, jak chce Ulrici — albo wreszcie „jak dusza w ogóle, tak i wszystkie jéj części nie są nigdzie“ według zdania jednego z naszych profesorów logiki...

Najzawilsze kwestje w obec których nauka wypowiada tylko słowa mędrca: wiém że nic nie wiém były od wieków rozwiązane w przekonaniu niejednego filozofa, Lecz na Boga! przestańcie przelewać z próżnego w próżne. Nie rozprawiajcie o istocie ducha, nie znając jego objawów, nie rozmyślajcie nad tém co będzie robić po śmierci, nie znając jeszcze tego co robi na ziemi.

Ażeby mnie nie posądzono że stronnie zapatruję się na bezowocność teorji filozoficznych dla psychologji, przytoczę kilka słów Józefa Kremera z jego rozbioru najcelniejszych nauk o duszy. „Żadna z teorji spirytualistycznych (Fichte starszy, Descartes, Spinoza, Leibnitz etc.) nie zdołała rozwiązać najważniejszych zagadnień psychologicznych, ani wytłomaczyć najzwyklejszych, najoczywistszych zjawisk duszy itd.“ Oby wiek obecny był raz na zawsze epoką wyswobodzenia psychologji z pod jarzma dogmatycznego absolutyzmu filozoficznéj samowoli! „Il n'ya point de sectes en geométrie“ zauważył Voltaire — starajmy się ażeby tak było i w psychologji.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Tertulian. De praescriptionibus haereticorum Cap. VII. Porównaj: F. C. Baur. Das Christenthum und die christliche Kirche d. 3 ersten Jahrh. 1860 etr. 255.

**) Descartes. Discours de la méthode. IV. str. 43—45. Wydanie Aimé-Martin 1838.

***) Chowanna. Poznań 1842 T. II. Cz. I. str. 351.

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

W bramie spotkał się z wracającym właśnie z codziennéj promenady, doktorem Tuckim.

Doktor spojrzał na niego wzrokiem jakim bibljograf patrzy na inkunabuł lub entomolog na rzadkiego

owada, wzrokiem jakim się patrzy tylko na jakąś osobliwość, gdy nam niespodziewanie wpadnie w oczy.

Spojrzenie to nie uszło uwagi Pilskiego.

— A tom się do ładnego domu dostał, — myślał sobie nowy lokator wychodząc z bramy, — oddają mi nieproszone wizyty, wmawiają we mnie jakieś niesłychane romanse z osobami, o których istnieniu nawet nie wiem, a w dodatku patrzą na mnie jak na raroga!... Doprawdy gdyby w tym Krakowie nie było tak trudno o mieszkania, tobym się wyprowadził zaraz dzisiaj. Ale cóż robić, nietylko lepszego, lecz takiego nawet nigdzie nie znajdę... trzeba przebiedować przez kwartał!...

Eskulap tak się zaciekawił powtórném spotkaniem swego „ciekawego egzemplarza“ i to w bramie domu, w którym sam mieszkał, że skorzystał ze zjawienia się wszystko-wiedzącéj Kazi, ażeby jéj o nieznajomego zapytać.

Kazia naturalnie objaśniła jak wszystkim:

— To narzeczony panny Izy... sprowadził się tu, do tego pokoiku, w sąsiedztwie pana konsyljarza.

— Narzeczony panny Izy? — powtórzył doktor — uśmiechając się.

— Tak, niezawodnie, — zapewniło nad wiek rozwinięte dziecko.

Doktor rzekł niby do siebie, z tym samym, nieco złośliwym uśmiechem na ustach.

— Ha! może być... taki jak on egzemplarz mógłby się i na to zryzykować. Kazia słuchała i usłyszała, ale nie zupełnie zrozumiała uwagę, a że gdy czego nie rozumiała, nigdy nie zaniedbała się pytać, więc zagadnęła:

— Proszę pana konsyljarza, dla czego pan tego pana egzemplarzem nazywa?..

Zbyt późno spostrzegł się Eskulap, że dał swoje myśli podsłuchać dziecku, które na Babiéj wyspie było rodzajem miejscowéj gazety, i że z tego plotka wyrosnąć może, chciał więc wybić Kazi z głowy przypadkiem usłyszany wyraz.

— Kto mówił o egzemplarzu, — rzekł wzruszając ramionami, — przysłyszało ci się i basta.

To powiedziawszy wszedł do siebie.

— Oho! słyszałam ja dobrze, — pomyślała Kazia, — i muszę się dowiedzieć dla czego to doktor tak pana Pilskiego nazywa... Muszę się dowiedzieć!... muszę!...

Doktor Tucki powróciwszy do domu, poszedł do swojego pokoju, wyszukał w szafie kilka lekarskich książek, do których od dawna widać nie zaglądał, i zaczął się rozczytywać w nich bardzo pilnie, robił nawet notatki na małych kartkach papieru, porównywał je z sobą, zestawiał, rozważał, kombinował, i tak medytując mówił do siebie:

— Nie, nie mylę się, rzeczywiście... osobliwość... jeden z najciekawszych okazów... a! gdyby mi się to udało, przesłałbym raport bodaj do akademji paryzkiéj. Tylko czy mi się uda... w tém sęk!... Ha! cóż?... kupić nie kupić, trzeba potargować.

Z tego monologu domyślić się możemy, że szanowny Eskulap zajęty był ciekawym egzemplarzem, który się w własnéj osobie na Babią wyspę sprowadził, a kiedy ten egzemplarz takie rozciekawienie wzbudził w poważnym medyku, łatwo odgadnąć że cała piękna większość ludności domu jeszcze bardziéj się interesowała nowym lokatorem.

Lokatorką nie tyle się zajmowano, co jednak nie ma znaczyć, żeby się nie zajmowano wcale. Owszem na nielicznych reprezentantach płci mezkiéj znajdujących się na Babiéj wyspie, piękność jéj dość wyraźne zrobiła wrażenie. Pan Porwicz żałował niezmiernie, że nie ma na warsztacie jakiéj powieści, gdyżby zaraz bohaterce dał śliczne rysy nowéj sąsiadki. Pan Baltazar Gąciński od chwili jak ją po raz pierwszy zobaczył, stał się wyraźnie jakimś roztargnionym, i, czego dawniéj nigdy nie bywało, po kilka razy w ciągu dnia zapomniał czegoś wziąć z sobą i potrzebował powracać do domu, niekiedy zaś nawet, lubo że nie był dotychczas bynajmniéj zwolennikiem hortikultury, zachodził do ogródka i siadał na ławeczce, z któréj spojrzenia jego mogły padać prosto w okna Jadwigi.

Było to zapewne bez zamiaru, ale nie tak o tém sądziła pani Tucka, która już trzema powrotami była przedmiotem wzdychań pana Baltazara, a obecnie znajdowała się z nim na stopie wojennéj, ponieważ raz w jéj obecności panią Porwiczową pochwalił. Nie tak również sądziły panny Rękalskie, które w pierwszych miesiącach po sprowadzeniu się pana Baltazara nakłaniały go, kto wié czy z czystego zamiłowania nauki, ażeby się oddał archeologji, ale nakłaniały nadaremnie. Nie tak wreszcie sądziła panna Petronela, a co do Kazi, ta wyraźnie opowiadać zaczęła, że pan Baltazar na panią Jadwigę oczkuje.

Starano się tedy poznać nowych sąsiadów, jak można było najdokładniéj, i zaczęto od zbadania ich sposobu życia. Okazało się, że byli domatorami oboje, lubili jednakowo samotność i ciszę. Pilski raz tylko jeden wyszedł na miasto po zasuwkę, a gdy z nią powrócił i gdy ją do drzwi przybił, zasunął się na nią i przez całą resztę dnia krokiem się już z domu nie ruszył, a Kazi, która parę razy brała za klamkę i pytała się go czy jest, odpowiadał, że jest wprawdzie, lecz śpi.

Takie domatorstwo najbardziéj się nie spodobało pannom Rękalskim.

— Przecieżbym mu głowy z karku nie zdjęła, — mówiła panna Izydora, — gdyby się ośmielił i przyszedł dziś do nas z wizytą... To zdaje się wypada, gdy się kto do czyjego domu sprowadzi, odwiedzić swoje gospodynie... Nie wyglądał na takiego nieśmiałego z początku.

— Eh!... moja Iziu, — pocieszały ją starsze siostry, — co się odwlecze, to nie uciecze, mówi przysłowie. Musi przecież pierwsze lody przełamać...

— Tak... ale kto się kocha naprawdę, to powinien kuć żelazo póki gorące, — zauważyła panna Iza.

— Dla czegoż?...

— Bo jak kuć zaraz nie będzie, to żelazo ostygnie i stwardnieje.

— Więc ty myślisz tak prędko dla niego ostygnąć i okazać się twardą, Iziu?...

— No, tego nie mówię, — odpowiedziała spuszczając oczy panna Izydora, — ale przecież... przecież... dodała niecierpliwie mnąc chusteczkę, — przecież się przed nim z tego nie wyspowiadałam.

Jadwiga również przez cały dzień od sprowadzenia się na ulicę nie wyszła i ledwie raz na chwilę, namówiona przez panny, ukazała się w ogródku, aby obejrzeć kwiatki pielęgnowane przez pannę Izę. Kazia zabiegała i do niéj, i łatwiejszy znajdowała przystęp niż do Pilskiego, ale i u niéj niekiedy drzwi bywały zamknięte.

Jeżeli domatorstwo Pilskiego nie spodobało się bynajmniéj pannie Izydorze, za to ten sam przymiot w nowéj sąsiadce wydał się jéj arcychwalebnym.

— Taką lokatorkę, to lubię, — mówiła do siebie, nie narzuca się ludziom, nie zerka oczami, i wdową będąc, pannom konkiet odbijać nie myśli. To jest rozsądnie i przyzwoicie, co się nazywa. Tylko czy to tak zawsze będzie?... Może ona się tak układa tylko na początek, a potém zacznie swoje sieci zastawiać i pokazywać różki?

To przypuszczenie zmartwiło bardzo pannę Izydorę. Zaczęła myślić jakby tu temu zaradzić, i prędko wynalazła sposób, który zakomunikowany starszym siostrom znalazł u nich jak najlepsze przyjęcie i zaraz w zastosowanie wprowadzonym został.

15*

Od pierwszego zatém dnia zamieszkania na Babiéj wyspie, Jadwiga odbierać zaczęła, kolejne niejako, a wcale częste wizyty panien Rękalskich. Siostry przychodziły po jednéj, zamawiały się o cokolwiek i zaczynały rozmowę o pogodzie, o kwiatkach, o kotce panny Petroneli, o piesku pani Porwiczowéj, albo téż o rozkosznéj naiwności Kazi. To zagajenie, w którém starały się bardzo o rozmaitość przedmiotu, było jednak wstępem do stereotypowego końca. Jakkolwiek Jadwiga prowadziła rozmowę, a prowadzić ją potrafiła wcale zręcznie, wizytująca ją panna Rękalska zawsze przed wyjściem nakręcała do swojego, i biedna lokatorka, musiała, ot tak sobie; à propos des bottes, wysłuchać dość obszernego wykładu, że panny Rękalskie znieść nie mogą kokieterji, że nienawidzą kobiét, które się narzucają mężczyznom, że się brzydzą młodemi osobami, które swych wdzięków używają za wabika na wielbicieli i hołdowników, i że sądzą, iż od tak zwanéj niewinnéj zalotności jeden krok tylko i to bardzo mały do kompromitacji i skandalu, że zatém one same unikają mężczyzn, i z takiemi tylko osobami płci żeńskiéj się przyjaźnią, w których nie dostrzegną ani cienia chętki przyciągania mężczyzn ku sobie, bodaj téż w najniewinniejszéj myśli.

Te perjodyczne wylewy elokwencji, te wykłady na Babiéj wyspie tylko z takim rygorem obserwowanéj etyki, były właśnie owym sposobem, który panna Iza wynalazła, aby Jadwidze odebrać albo w zarodku stłumić wszelką chętkę zastawiania sieci i pokazywania rożków.

Było to lekarstwo prezerwatywne, ale dla Jadwigi dość nudne. Nowa lokatorka Babiéj wyspy miała jednakże tyle cierpliwości, że nie okazywała po sobie, że jéj to bezustanne powtarzanie jednych i tych samych komunałów bynajmniéj nie sprawia rozrywki.

Drugi dzień pobytu nowych lokatorów na Babiéj wyspie przeszedł bez żadnego ważniejszego wypadku, i był tak podobnym do poprzedniego jak dwie krople wody. Pilski raz tylko, w porze obiadowéj, na parę godzin wyszedł na miasto, Jadwiga siedziała w domu przez cały dzień, jak w oblężonéj fortecy, zaopatrywana jednak we wszystko co do jéj małego gospodarstwa było potrzebne, przez małą, przychodzącą z miasta i posługującą jéj dziewczynkę.

Panna Izydora na serjo zaczęła się dąsać na swego wielbiciela, a nawet, zdaniem panny Petroneli i Kazi, narzeczonego i przyszłego męża.

— Mruk jakiś... zamknął się i ani nosa nie wyścibi, — powiedziała sobie, lecz sobie tylko, — myśli że tu u nas to klasztor i klauzura... Trzeba coś na niego wymyślić, bo inaczéj, Pan Bóg wié, jak to długo tego będzie.

I zaczęła dumać jakiby tu środek wymyślić na nieśmiałość sąsiada, a że pomiędzy siostrami używała sławy bardzo pomysłowéj istoty, nie ulegało więc wątpliwości, że wkrótce coś doskonałego obmyśli.

— Tym sposobem przez dwa dni mieszkania pod jednym dachem nowy lokator nie widział nowéj lokatorki, ani przez nią nie był widzianym.

Tak jednak wiecznie być nie mogło.

Trzeciego dnia zrana czas był prześliczny, Pilskiemu zachciało się odetchnąć swobodnie świeżém powietrzem. Wyjrzał przez okno, które jak wiemy wychodziło na ogródek, zobaczył że w ogródku nie ma nikogo, poszedł więc posiedzieć przez chwilę między kwiatkami panny Izydory.

Na Babiéj wyspie wejść do ogródka znaczyło tyle, co się ukazać na widok publiczny wszystkich mieszkańców. Ogródek, jak mówiliśmy, zajmował środek podwórza, nim więc wchodzący do niego zdołał się ukryć w któréj z altanek stojących pod parkanem, oddzielającym Babią wyspę od sąsiedniéj posesji, mógł być widzianym przez wszystkich lokatorów mieszkających od podwórza, a nawet przez frontowych, bo i ci mieli także okna wychodzące na podwórze.

Ledwie się więc nowy lokator ukazał w ogródku, został spostrzeżonym. Najpierwszy spostrzegł go doktor Tucki i zaraz pospieszył do niego, aby się z nim niby spotkać przypadkiem. Pośpiech jednak zdradzał, że ten przypadek był umyślnym, i że doktor czatował na sposobność poznania się ze swoim sąsiadem.

Zbliżył się do niego z bardzo grzecznym ukłonem, przedstawił mu się i w najuprzejmiejszy sposób rozpoczął rozmowę o kwiatach.

Panna Iza chciała także niby przypadkiem wyjść i podlewać kwiatki, ale spostrzegłszy, że ją doktor ubiegł, nie chcąc w obec takiego świadka narzucać się sąsiadowi, aby przypadkiem nie pójść na ludzkie języki, przygryzła tylko wargi i powróciła do domu, aby z po za firanek i kwiatów obserwować swego nieśmiałego adoratora.

Pilski więc sam z doktorem pozostał w ogródku, i nie widział ani ciekawego spojrzenia panny Izy, która dlań była zresztą dość dobrze ukryta, ani nie kryjącéj się bynajmniéj twarzy panny Petroneli, która się z tém nie taiła zupełnie, że go z oka spuścić nie myśli, ani pomarszczonego oblicza pani Gącińskiéj, która siedziała przy oknie i robiła pończochę, ale któréj oko częściéj daleko błąkało się po ogródku niż zatrzymywało na robocie, — nie domyślał się wreszcie, że Kazia, która w téj chwili była u Jadwigi, — uchyliwszy nieco zielonéj firaneczki, którą Jadwiga zasłaniała swoje okno — przypatrywała się uważnie każdemu jego poruszeniu.

Pilski nie był ochoczym do zabierania znajomości, zwłaszcza téż z człowiekiem, który pierwszy raz go ujrzawszy tak dziwne nań zrobił oczy, ale doktor tak grzecznie i życzliwie z nim rozmawiał, tak mało okazywał ciekawości co do szczegółów dotyczących bliżéj jego osobistych stosunków, tak doskonale się utrzymywał na stopie sąsiedzkiéj tylko uprzejmości, iż mimo potężnéj dozy zgryźliwego usposobienia, jaka wchodziła w skład charakteru nowego lokatora, mimo wszelkich kwalifikacji na odludka, jakie posiadał, a które tak nań gniewały pannę Izę, mimo wreszcie urazy za pierwsze spotkanie w bramie, nie mógł nie uznać taktu w postępowaniu Eskulapa, i wszedł z nim w dłuższą rozmowę, któréj naturalném następstwem być musiała bliższa cokolwiek sąsiedzka zażyłość.

Kazia, obserwująca ich ciągle, zwróciła się po niejakim czasie do Jadwigi i zapytała:

— Czy pani już widziała narzeczonego panny Izy?...

— Tego pana co się tu niedawno sprowadził?...

— Tak jest, pani.

— Nie... nie widziałam go jeszcze...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Biedna dziecina.

Ach! jak mi zimno, mamo moja droga,
Jeszczem od wczoraj nic w ustach nie miała;
I za co Bozia dla nas taka sroga?
Okryj mię mamo, bo z zimna drżę cała.

I swe rączęta, obnażone, małe,
W szmaty ubrania matczynego tuli;
A biedna matka swoje szczęście całe
Ciśnie do piersi, nucąc luli, luli...

* * *

Mamo! dla czego Franio taki zimny?
Czemu twarz jego tak martwa i blada?
Mamo! czy Franio nie będzie już inny,
Bo gdy go pytam, nic nie odpowiada!

I swe rączęta obnażone, małe,
W szmaty nbrania matczynego tuli:
A biedna matka swoje szczęście całe
Ciśnie do piersi, nucąc luli, luli...

* * *

Serce ściśnięte, oczy łzą wezbrane...
Cisnąc dziecinę coraz bliżéj siebie
Mówi, o! dziecko moje ukochane!
Franio nie wróci, bo Franio już w niebie.

A biedne dziecko blade i zsiniałe,
Jak kwiat przed burzą do matki się tuli.
Ta je ogrzewa, toż jéj szczęście całe,
I choć trupowi śpiewa luli, luli...

M.

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiém w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

W zimie w r 1851 — za powrotem z niewoli zamojskiéj — bywaliśmy znowu na poniedziałkowych wieczorach. Zaszło zmian kilka: jedni umarli, jak nieodżałowanéj pamięci J. D. Minasowicz. Inni chléb gorzki tułaczy jedli, jak Teofil Lenartowicz. Skimborowicz siedział w Zamościu, A inni jeszcze byli na Kaukazie — albo w Sybirze.

Przybyli wszelako i nowi goście i koryfeusze — pomiędzy tymi Henryk Rzewuski, autor Soplicy, Mięszanin Bejły — Listopada — Zamku krakowskiego — i t. d, i t. d. I Romuald Drucki Podbereski, Litwin, redaktor Pamiętnika naukowoliterackiego i t. d

Ukazywała się także już w salonie panna Jadwiga, dodając wdzięku zebraniom. — I bywała pani Kazimira Komierowska — Jolanta.

Pan Henryk Rzewuski siadał sobie zwykle na uboczu — i okoliła go niebawem liczna mężczyzn gromadka. Opowiadał im anegdotki przeróżne - żarty — dowcipy — których wszelako powtórzyć nie mogli, tak były wolne.

Raz swąd jakiś dał się uczuć w salonie.

— Czad, czad wyraźnie! wymówił Rzewuski powstając. Przystąpił do pieca i rurę otworzył, przyczém sobie jasną zczernił rękawiczkę

— Ha! — zawołał, pokazując rękę — je me suis sacrifié pour le bien public!

— Vous l'auriez pu faire, sans vous salir! ozwał się E. Knoll, Wołynianin.

Pan Henryk nic nie odpowiedział. Usiadł opodal, począł mówić o czadzie, swędzie — dzisiejszych lampach — i świecach stearynowych, które potępiał.

— Niemasz to jak światło łojowe! — prawił daléj — póki młodzież swoje naukowe studja odbywała przy świeczkach łojowych, to i nauczyła się więcéj: ludzie byli mędrsi i światlejsi. Znać, ot, kopeć łojowy zbawiennie na mózgi wpływał. Bo stearyna czcze daje światło, a płomyk bledszy, chłodniejszy od kochanéj łojówki. Zdaje się nawet, że i duchy pozaświatowe, pozagrobowe, przestające z nami ziemianami, choćby pośrednio tylko, także więcéj w łojowém lubują się świetle. I tak, pamiętam, pisałem raz jakąś arcy-uczoną rozprawę, przy łojówce z grubym knotem, wielki wydającą płomień, a zatém i kopeć. Godzina już była późna. Znużony nielitościwie, zawisłem na krześle i padłem w objęcie Morfeusza. Zasnąłem smacznie, głęboko. — Gdym się ocknął — zbudzony wrzaskiem przekupki po za oknem, dzień już na wpół był jasny. Łojówka żgliła się jeszcze — i sterczał knot długi, przepalony, czarniawy. Powstałem — przeciągnąłem się, ziewając — i chwytam za skrypt leżący na stole. A tam?... O dziwy! Państwo nie zechcecie uwierzyć!.. Rozprawa uczona była dokończoną nie moją ręką! — Dokonał dzieła tego znać duch jakiś uczony, kopciem kochanéj przynęcony łojówki!

Pośmieli się słuchacze. Gdy w tém ktoś powiedział:

— Schulhof grać będzie!

Rzewuski powstał i do swojego wrócił kącika.

— Les délices de la campagne — wymówił mistrz, siadając przy fortepianie.

Urocza powiała melodja — powiała, bo istnie jak gdyby lekki podmuch klawiaturę poruszył, tak dziwnie delikatném czarował dotknięciem: była to śliczna idylla muzyczna.

Przymknęłam powieki — i przed rozbujałą fantazją przeciągnęły wdzięczne sioła — chatki wśród ogrodów — rólni pracownicy — pasące się trzody — zielone smugi — ciemne lasy — modre jeziora — łąki kwieciem zasłane — zbożem pokryte pola — wszystko w złotawy promień przedzachodniego ujęte słońca. Gdy zdala dźwięk melodyjny dzwonu wieczornego po rosie nadpływał... Zaprawdę, że gra Schulhofa sielanką była na fortepianie.

Skończył — i szmer w około, w głośne przemienił się oklaski. Melodja Schulhofa nierównie głębsze w salonie sprawiała wrażenie, aniżeli na wielkiéj sali koncertowéj, bo zbyt delikatném było cieniowanie jego gry prześlicznéj.

— Komorowski Spowiedź moją będzie czytał — poszepnął mi przyjazny nam poeta, którego nazwiska wszelako, bez jego zezwolenia, tutaj nie wymieniam.

Znałam ten poemat. Przeczytał mi go jeszcze przed wyjazdem moim na mieszkanie do Zamościa — i zawołałam wtedy silném przejęta wrażeniem: „Piękne! O jakżeż piękne!" — A powtórzył to za mną i gość obecny, z sądem wyrobionym.

Była to spowiedź Żyda — który głęboko i gorżko swoją czuje niedolę, jako paria, wpośród chrześciańskiéj społeczności. I zawierał nieco drażliwy ustęp.

Komorowski usiadł na środku salonu. A było wtedy wiele, bardzo wiele osób. Wszystko przycichło od razu — że przypomniało się wyrzeczenie dawne: Jak gdyby makiem zasiał.

Zaczął czytać pięknie, wyraziście, dźwięcznie, jak zawsze. Uwaga była do najwyższego podnieconą stopnia. W tém przychodzi ów ustęp wspomniany:

Czyż całe życie zasług nie zdołało
Miłości od was braterskiéj wyprosić?
Czyż było jeszcze poświęceń nie dosyć?
Czyż było jeszcze chrztów krwawych za mało?
Czyż pamięć zasług naszych w poniewierce?
Czyśmy praw naszych nie dowiedli w czynie?

Czyliż nie polska krew nam w żyłach płynie?
Czyliż nie polskie w piersi bije serce?
Niech myśl przeszłości zawiść w sercu zgasi,
Niech pamięć zasług dawny przesąd zaćmi,
Niech ci co sercem byli bracia wasi,
Słowem i czynem zostaną się braćmi!
A może szczep ten nowego plemienia,
Piękniej przyszłości rokuje nadzieje.
Młodemi listki doda drzewu cienia
I w pień ów stary nowe życie wleje.

Opodal stał Aleksander Tyszyński — i spojrzeliśmy na siebie. — Cisza ogólna zdwoiła się jeszcze.

Komorowski umilkł. Cisza przez chwilę potrwała. — Potém szmer powstał. Towarzystwo rozdzieliło się znowu — i różne dalej ciągnęły się rozmowy. Ale znać nie o Spowiedzi.

— Rzeczywiście piękne — poszepnął mi, przysiadając się, pan Józef Korzeniowski, poezja piękna, uniesienie gorące, uczucie prawdy, ale bez prawdy faktów...

I nie mogłam téj uwadze zaprzeczyć. Dziś wszelako, wyznać należy, że poeta, gdy tworzył Spowiedź tchnął duchem proroczym. Wtedy nie było tam jeszcze prawdy faktów, ale po latach 1861 i 1862 — gdy Żydzi na ulicach Warszawy podnosili zdruzgotane przez żołdactwo krzyże z Chrystusem — gdy z świętemi nłamkami klękali, i ginęli pod kolbami... — wtedy sprawdzały się słowa poety. — Była to wszakże chwila tak wielka, jakiéj nam żadna karta historji nie dała dotąd. A może raczéj przepowiednią wyższego, prawdziwszego pojednania i jedności — w duchu miłości chrześcijańskiéj i bliźniego — jakich, oby Polska błogosławione dała przykłady!

W kilka tygodni późniéj, musieliśmy na rozkaz wszechpotężny pożegnać Warszawę i kongresowe królestwo — z goryczą — tęsknotą — i bólem. Współczucie dla nas było ogólne — i dzięki Wam Wszystkim za to!

Pani Nina Łuszczewska napisała w Albumie moim:

Przeznaczenie kobiety:
„Kochać w milczeniu,
Mówić w spojrzeniu,
Cierpieć w westchnieniu
Żyć w poświęceniu."

Przeznaczenie mężczyzny:
„Mądrości berło piastować,
Ludzkość miłością owionąć,
Potęgą czynu panować,
A duszą w Bogu zatonąć."

ZIMĄ.

(Z rossyjskiego)

Witajcie dziecięce lata i marzenia!
Ledwo was przypomnieć, w uśmiech łza się zmienia,
Babcia siedzi w krześle, pochyla się, drzemie,
Z rąk bezwładnych kłębek upuszcza na ziemię,
Skacze burek z kąta, porusza go łapką,
Ciemnieje już świeca pod ognistą czapką,
Noc z za okna patrzy, niby oko czyje:
Zimowa zawieja szaleje i wyje...

Babci cudne bajki ze snu mnie wybiły:
Waligórę widzę, człeka dziwnéj siły,
Jędza czarownica żywéj duszy słucha,
Smok wzlatuje w górę i iskrami bucha,
Las zagłuchł, oniemiał, skryty czarną chmurą,
Spoglądają drzewa ponuro, ponuro!...
Mrok z za okna patrzy, słania się i chwieje:
Zimowa zawieja wyje i szaleje...

Babcine futerko nogi mi ogrzało;
Ot i w oczach moich wszystko się zmięszało,
Lampka to raz błyśnie, to znowu przygaśnie,
Coś na izbie stuknie, coś w kominie trzaśnie,
Mrok mi w oczy patrzy, słania się i chwieje...
Zimowa zawieja wyje i szaleje...

Wieczny odpoczynek wam, radosne chwile!
Gdzieżeś niewinności, cichy śnie i zdrowie?
Od łez mych przemokło pomięte wezgłowie,
Na piersiach głaz leży jakby na mogile,
Dusza więdnie, myśląc o jutrze, o chlebie,
Dni dziecięce świecą, jak gwiazdy na niebie
Tajemnicza przyszłość groźbami ciemnieje.
....
Zimowa zawieja wyje i szaleje!...

Wł. Ordon.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Z okazyji „Czarnych Djabłów."—

Z rozbioru „Lwów i Lisów" wyrozumiał Szanowny Czytelnik z łatwością, jaki jest mój sąd ogólny o bulwarowéj komedyji paryzkiéj. Rozbiór ten powinienby mnie właściwie uwolnić od sprawozdania s „Czarnych Djabłów", które tak bardzo tchną kałem moralnym, s których tak jaskrawo bije publiczne porubstwo, żebym się jich najchętniéj nie dotykał wcale. A daléj: podjąłem się pisania tych recenzyji teatralnych, nie w jinnym celu, jak żeby teatrowi poznańskiemu służyć i pomagać; służyć przez wykazywanie jego zalet, pomagać przez wyrabianie w publiczności naszéj coraz więcéj tego poczucia, że scena jest dla każdego cywilizowanego narodu niezbędną potrzebą, bo jest wielką dźwignią narodowego rozwoju. Gdyby więc każda recenzyja zawierać miała tylko naganę, tylko morały i niezadowolnienie, to według zdania nie saméj może tylko Dyrekcyi, ale i pewnéj części Czytelników, te usługi moje i pomoc wręcz przeciwny wydaćby mogły skutek.

Rozważyłem to sobie wszystko i wszechstronnie, a jednak ze względu na to, że gorąco i szczerze pragnę utrzymania się sceny polskiéj w Poznaniu; że scena ta potrzebuje koniecznie przyjaciela, któryby jéj powiedział, jakie jest o jéj wartości zdanie u tych, co stanowią większość poważnego społeczeństwa polskiego; że Czarne Djabły pod względem nagiéj bezczelności przewyższają wszystko cośmy dotąd na deskach teatru widzieli;

że podczas przedstawienia widzieliśmy w lożach pełno młodych panienek, a w parterze pełno młodzieży szkólnéj rozmajitego wieku;

że wreszcie publiczność zebrana zapomniała się tak dalece, iż s powodu dobréj gry dała się porwać do obsypania oklaskami brudnego cynizmu;

s tych więc wszystkich razem względów jest więcéj jak kiedykolwiek mym obowiązkiem, przestrzédz tak aktorów jak widzów, że stanęli na drodze pochyłéj i śliskiéj.

W 28 Numerze Dziennika Poznańskiego czytamy na początku odezwy w Sprawie teatru polskiego następujące wyrazy: „Rodacy! Najdroższe puścizny po Ojcach naszych: język, tradycye, literatura, obyczaj publiczny i prywatny — skazane wśród a mimo nas na życie umartwień i sieroctwa, coraz głośniéj domagają się u sumienia naszego, ażebyśmy wszelkich sił dobywali, by je ratować od zatraty na jaką są narażone.“

A na końcu: „Rodacy, wzywamy Was do czynu dobrego w imię solidarności narodowéj, w imię miłości braterskiéj, w imię wszystkich cnót narodowych, które jaśnieją na kartach dziejów naszych.“

Tak scena jak i publiczność niech mi raczą wierzyć, że jeżeli na deskach poznańskich mają równie często jak dotąd pokazywać się takie „Wieże piekielne“, takie „Damy z Kamelią, Pojęcia pani Aubray, Nasi najserdeczniejsi, Czarne Djabły“ i cały podobny legion obrazków zgangrenowanego francuzkiego półświata, to wszyscy poważniejsi obywatele słowa powyższéj odezwy obrócić muszą nie w obronie, ale przeciw scenie poznańskiéj, mogąc ją potym słusznie nazwać nieprzyjaciółką naszego języka, tradycyji, obyczaju publicznego i prywatnego, trucizną gorszą od samejże germanizacyji, przed którą ona ma nibyć bronić Wielkopolski.

Twarda to mowa, ale niestety konieczna. Sztuki takie jak te, o których mówię, są dla Polski szkodliwe, dla Francyj ubliżające.

Dla Polski szkodliwe. Kiedym patrzał na „Czarne Djabły“, na zajęcie, z jakim większość zgromadzonych pożerała każdy giest, każde słowo dwuznaczne, wtedy przypomniał mi się mimowolnie cudowny ustęp ze Soplicy, w którym ostatni w Litwie Podkomorzy opisuje piérwszy najazd encyklopedystów francuzkich na świętą ziemię Giedymina, Olgierda, Kiejstuta:

„Gdy raptem paniczyki młode s cudzych krajów
Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,
Prześladując w ojczyznie Boga, przodków wiarę,
Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.
Żałośnie było widzieć wyżółkłych młokosów,
Gadających przez nosy, a często bez nosów,
Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,
Głoszących nowe wiary, prawa, toalety.
Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszcza;
Bo Pan Bóg, kiedy karę na naród przepuszcza,
Odbiera najprzód rozum od Obywateli.
I tak mędrsi fircykom oprzeć się nie śmieli,
I zląkł jich się jak dżumy jakiéj cały naród,
Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród.
Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory;
Zmieniano wiarę, mowę, prawa i ubiory.
Była to maszkarada, zapustna swawola,
Po któréj miał przyjść wkrótce post wielki — niewola!“

Tak zajiste! Ówczesne małpowanie zagranicy przyniosło nam niewolą ciała; dziś już się tego nie potrzeba obawiać; ale dziś czeka nas co gorszego, dziś połykając zgniliznę paryzką, wystawiamy się na spodlenie ducha.

Proszę mnie dobrze zrozumiéć.

Scena nie ma być kościołem; utwory dramatyczne nie mają być katechizmami; nie wymagamy, żeby artystki były „kapłankami“, jak się to pięknie mówi wieszczom czerpiącym natchnienie nie kastalskiego źródła, lecz ze strumyków mruczących u stóp „knidejskiéj świątyni“. Nie może być bez tego, żeby w obrazy życia nie weszło coś i z ujemnéj tego życia strony, żeby nie weszło do nich niekiedy i śmielsze słówko i cieplejsze spojrzenie, które w dzień biały i w rzeczywistości nie wszystkimby przypadły do smaku. — Jest wszakże pewna granica, któréj przekroczyć nie wolno bez obrazy przyzwojitości publicznéj. Rzeczy nieestetyczne, rzeczy moralnie niedobre, mogą wychodzić na scenę tylko na to, żeby odnieść chłostę i karę, ale nie żeby je materyjalnie i w całéj nagości przedstawić dla tego tylko jedynie, że są. Wolno było utopiście Heglowi prawić w metafizyce, że „wszystko co jest, jest rozsądnym“; sztuka jednakże nie dopuszcza brzydoty — bo jest naczyniem piękna, naczyniem rzeczywistości wyidealizowanéj.

Przypatrzmy się teraz w szczególności poznańskim stosunkom. Jeżeli przed oczy naszego obywatelstwa wiejskiego, mieszczan i młodzieży wyprowadzim postacie wywleczone z błota trotoarów paryzkich, dla efektu odziane w magiczne blaski bengalskiego ognia klejnotów, strojów i sceneryji, czy nie nabiorą oni przekonania, że te Francuzy, to chyba same demimondy bez wiary i wstydu, i że takie stosunki są we Francyi normalnemi; a ponieważ Francyja jidzie na czele cywilizacyji, więc że takie życie musi być godnym naśladowania, kiedy je z taką przedstawiają lubością i werwą?... Nie mylę się zatym twierdząc, że sztuki takie w oczach naszych ubliżają Francyji.

Jeżeli mi czas pozwoli, skréślę przy sposobności Szanownym Czytelnikom mały obrazek teatrów francuzkich; na dziś tylko słów kilka.

Paryż jest tak wielkim, że każdy stan, każde stronnictwo, każda warstwa społeczeństwa ma tam swoje osobne miejsce zabawy publicznéj, więc i swoje teatra. Dawniéj na przedmieściach grano tylko Rynaldinich, Fra Diavolów i tym podobne farsy. Lecz w miarę tego jak za drugiego cesarstwa obok dewocyji na dworze rozzuchwaliła się par opposition publiczna rozpusta, powstały ogrody, teatra, służące tylko brudnéj Astarcie, zaprzęgając do jéj rydwanu najzdolniejsze dzisiaj we Francyji pióra, między jinnemi Dumasa i p Sardou, którzy na tego rodzaju utworach porobili niezmierne fortuny. Zaczęto od studenckich gryzetek, posunięto się na pole loretek przedajnych. Było tego za mało, więc wyemancypowano ciało i potargano związki rodzinne, tworząc komedyje demi-mondu, co jabym nie półświatem, lecz niby-światem przezwał. Rozlało się to robactwo po całym ciele téj wspaniałéj Francyji, i jak trychiny ubezwładniło ją na wszystkich członkach tak, że Prevost-Paradol mógł w roku 1868 prorokować katastrofę obecną. Powiédzmy jednakże tyle na obronę wielkiego narodu, że nie wszędzie zapanowała ochyda, że poczciwi mężowie wszystkich stanów ubolewali nad tą protytucyją autorów, że progi dwóch największych teatrów paryzkich, Odeonu i starego Théâtre de la Comédie française dla podobnych orgiji zawsze były zamknięte.

Ależ wróćmy do „Czarnych Djabłów“, które wywołały te wszystkie uwagi. Jich treść w skróceniu następująca:

Ojciec pewien, co nie bardzo przykładnie przeżył swą młodość, pragnie syna za jaką bądź cenę; syna, choćby ten był djabłem. Staje się zadość jego życzeniu, nie wiém za czyją sprawą — bożą czy szatańską. Rodzi mu się tedy syn, ale takie „ziółko“, że już niemowlęciem gryzie niańkę, tłucze wszystko i słucha podszeptów, jakiemi go otaczają młode „diables bleus“ dosłownie „duchy modre“, niby liliputki piekła, złe gieniusze, które razem z nim rosną i przemieniają się zwolna w coraz bardziéj czarne duchy, w czarną, że tak powiém gwiazdę. Syn staje się powodem śmierci ojca, matki i siostry, a dorósłszy, skończonym Lampartem. Lampart ten poznaje młodą wdowę, kobietkę bujnéj imaginacyji, ale słabego wyobrażenia o cnocie, lekkiéj stopy ale i lekkich obyczajów, nieufnéj, mściwéj, choćby przyszło bratać się ze śmiercią. Nadgryziony młodzieniec przysięga, że miłość takiéj niewiasty zdolną jest go naprawić, zdolną odegnać czarne jego duchy. Namiętna wdówka ulega nareszcie, i przyrzéka, że będzie mu aniołem opiekuńczym. Zaczyna się tedy

naprawa młodzieńca od wykładu co to jest peccatum contra sextum. Celem należytego zgłębienia rzeczy in loco, nasz bohatyr, zbiegiem nienaturalnie powiązanych okoliczności, dostaje się o północy do przedpokoju nauczycielki, a gdy mu się nudzi siedzieć noc całą przy kominku, przenosi się w oczach widzów do auditorium, gdzie się rzecz wykłada tylko privatissime et gratis.

Każdy początek jest trudny. Mimo coraz częstszych prelekcyji, czarne duchy jak nie chcą, tak nie chcą uciekać. Nasz elew miasto robić postępy, coraz bardziéj tępieje; nauka widocznie w las poszła. S początku pilnował swéj pani, teraz już i na karty chodzi, zgrywa się, kłamie, pożycza, pisze weksle, nareszcie w oczach naszych kradnie klejnoty swéj lubéj, by niemi długi popłacić. — Nie dosyć na tym, daje jéj powód do posądzenia go o niewierność, skutkiem czego obrażona niewiasta, zamknąwszy się z niepojętnym szpakiem sam na sam, zapala pałacyk, by jak druga „Sardanapalka" spłonąć na „stosie miłości." Tymczasem nieznośny sługa Anglik ratuje oboje tak doskonale, że nawet pantalony kochanka wychodzą s tej potrzeby bez szwanku. Lecz co się tyczy sprawczyni pożaru, na téj skrupiło się nie bardzo przyjemnie, bo zachorowała okropnie, traci nieomal zmysły, a po zwykłych scenach, obliczonych na rozdarcie serca słuchaczów, wraca na chwilę do przytomności, by — skonać. Czarne djabły górą! wiwant czarne djabły! Pan lampart poszuka sobie niebawem nowéj ofiary, jeżeli nie wstąpi do... Jezuitów.

Szkoda wyśmienitéj gry całego kółka, które występowało w „Czarnych Djabłach". Niezdolny do zapuszczania się w bliższe szczegóły, winienem tylko pochwalić grę pp. Dobrzańskiego i Zboińskiego, których gra i role (starego łakomego kawalera i wiernego sługi) bardzo miłe na widzach zrobiły wrażenie.

Żeby być sprawiedliwym, na uniewinnienie Dyrekcyji wypada mi powiedzieć tyle, że poniekąd publiczność sama temu winna już podobne sztuki coraz częściéj się grają, nie uczęszczając dość licznie na poważniejsze i moralniejsze, i tym sposobem wytykając niejako Dyrekcyji drogę, jaką ma postępować. Nie radziłbym jednakże téj ostatniéj, żeby szła za taką wskazówką. Nie dość bowiem, że staje się ona odpowiedzialną za moralną szkodę słuchaczów, ale co więcéj, prowadzi mimowolnie scenę do upadku. Artyści, którzy silić się muszą, nieraz z bólem serca, żeby hańbę i zbrodnią sprzedawać za dobrą monetę, zniechęceni i zobojętniali, nie znajdą w sobie dość siły, dość świętego ognia, kiedy przyjdzie zdobyć się na poważniejszą rzecz ojczystą, choćby na taką Zofiją Morsztynównę lub Halszkę z Ostroga, których rozbiór zostawiamy sobie na późniéj.

Rz.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Jakieś złowieszcze fatum zawisło nad moją kronikarską głową. Posłuchajcież czytelnicy smutnéj opowieści, a pożałujecie mnie pewnie. Byłem w najlepszym humorze — miałem napisać coś arcyciekawego i arcydowcipnego — wszystko w około mnie spoglądało wesołemi oczyma — uśmiechały mi się filuternie złociste łebki gwoździ u fotelu — zielone sukno biórka, świadek tylu chwalebnych wysileń ku Waszemu pożytkowi, czytelnicy, kokietował mnie poetycznemi plamami kronikarskiego atramentu — a gęsie i stalowe pióra, powierniki méj weny, z głębi szuflady chóralnym odzywały się hymnem oczekiwania. Nagle, jak piorun z pogodnego nieba wpadł do spokojnego przybytku Waszego kronikarza, z rozrzuconym bezładnie włosem, niefortunny mój pupil, dwudziestodwuletni słuchacz archeologji, oburzony niepomału na towarzysza z uniwersytetu, który go uprzedził, oświadczając się modrookiéj pannie Zuzannie. Niebaczny młokos nie wiedział, jak wielką mi wyrządził krzywdę — wraz z jego przybyciem rozwiały się wszystkie tęczowe pomysły, które byłbym niebawem ubrał w misterne okresy i puścił w świat na pociechę ludziom dobréj woli...

— Niestety, natchnienie nie chce już powrócić — trzeba się tedy pogodzić z rzeczywistością i pisać o rzeczach wcale prozaicznych...

* * *

Sprawa teatru w dzielnicy naszéj mimo nieprzyjaznych okoliczności i wrogiego zastępu takich szermierzy, jak poznański korespondent „Czasu," postępuje żwawym krokiem naprzód. Komitet teatralny, pragnąc przyspieszyć chwilę wzniesienia gmachu dla ojczystéj sceny, wysłał na prowincję pp. Bełzę, Ordona i Śmieszka, celem zbierania podpisów na akcje. Środek to wielce praktyczny i niewątpliwie pożądanym uwieńczony będzie skutkiem, — gdyż mamy nadzieję, że obywatelstwo nasze odpowie pokładanemu w niém zaufaniu. Tą samą myślą tchnie odezwa komitetu z dnia 2 lutego, kończąca się następnemi słowy:

„Nie wątpimy ani na chwilę, że głos nasz znajdzie uznanie w umysłach i sercach waszych, a hojna dłoń wasza, z wszystkich krain Polski po bratersku przyczyni się do zbudowania przybytku, który na kresach naszych stać się powinien źródłem orzeźwiającém poczucia narodowe, obywatelskie i obyczaj swojski."

Gdy tak ludzie o dobro powszechne troskliwi, krzątają się nad zapewnieniem przytułku narodowym Muzom — tymczasem i obydwa towarzystwa dramatyczne w Księstwie pracują gorliwie nad rozbudzeniem zamiłowania do rodzinnéj sceny. Po „Goplanie", wydanéj nakładem p. Lecha Nowakowskiego, wyszedł świeżo staraniem towarzystwa prowincjonalnego „Rocznik sceny polskiéj w Wielkiém Księstwie Poznańskiém i w Prusach Zachodnich w 1870 roku" — poświęcony „protektorom sceny narodowéj w Wielk. Ks. Poznańskiém." W osobnym dodatku, który dotąd nie wyszedł, ma być pomieszczona 1-aktowa komedja: „Zaproszę majora" — rozprawa Schillera: „Scena szkołą moralności", — „Wskazówki dla teatrów amatorskich" — „Spis teatrów polskich od r. 1869—1871 i anegdotki teatralne.

Rocznik sam zawiera nasamprzód krótki rys dziejów sceny narodowéj w ziemiach polskich pod zaborem pruskim przed rokiem 1870, powtórzony wedle cennego artykułu wydrukowanego w pierwszym roczniku Sobótki pod tyt.: „Dzieje sceny polskiéj w Wielkopolsce." Następnie obszernie wyłożone powstanie i rozwój sprawy teatru w Poznańskiém od r. 1869 aż do ostatniéj chwili — daléj daty statystyczne z przedstawień polskich w Poznaniu i na prowincji — o potrzebie drugiéj sceny prowincjonalnéj i w końcu słów kilka sprawiedliwych choć surowych o naszéj krytyce teatralnéj. Rzecz cała skompilowana dość zręcznie, po większéj części z wiadomości dziennikarskich w tym przedmiocie, pożyteczna jest bardzo, bo daje pogląd na tok sprawy i uzupełnia go trafnemi często uwagami autora. Radzilibyśmy mu tylko więcéj dbać o gramatykę i czystość języka, których w następnych n. p. słowach nie możemy dopatrzeć: „Na sumę składek i dobrowolnych datków,

na budowlą teatru wpłyniętych, miały być wystawione akcje na 200 tal. jako własność spółki depozytalna." I wiele tym podobnych.

* * *

Ale dość już o sprawie teatru, o której dziś kto może, pisze i mówi. Zróbmy maleńkie salto mortale i od teatru przejdźmy do zabaw karnawałowych, które w tym roku są słusznie zakazanym owocem. Chcąc nie chcąc jakoś tegoroczny sezon zimowy złożył się na same zabawy umysłowe. Był czas, że myśl podobnego użycia czasu podnoszono, pono nawet wprowadzono ją w życie – niestety trwało to krótko, a wrodzone nam widocznie zamiłowanie do ćwiczeń salonowéj gimnastyki, przemogło. A propos tańców przypomina nam się anegdotka, za któréj umieszczenie z góry przepraszamy zwolenników Terpsychory. Było to w czasie, kiedy Warszawa rozpoczynała się bawić po długiéj przerwie. Wielu zmuszano do zabaw, wielu cieszyło się z tego przymusu, bo byli oczyszczonemi w przekonaniu tych, co do dziś dnia na bale nie chodzą. Dawano wielki bal w zrabowanym pałacu Zamojskich, wśród zaproszonych było kilku Polaków, którzy właśnie con amore polkowali na miejscu tak smutnych wspomnień. Do grupy kobiét różnych narodowości, zbliżył się Rossjanin obserwator: „Dziwna rzecz, rzekł, Polakom choćby pocinać nogi, jeszczeby tańczyli." Jedna z obecnych dam znajdująca zazwyczaj w swym arsenale gotową odpowiedź, odparła: „O Moskalach inaczéj mówi przysłowie, im gdyby ręce ucięto jeszczeby kradli."

O Poznaniu teraz niczego podobnego powiedziećby nie można — żyje i bawi się wyłącznie intelektualnemi przyjemnościami. Nie daléj, jak 14. b. m. w następny wtorek, młody rodak artysta, p. Michał Hertz, znany już poniekąd naszemu miastu tak z zeszłorocznych koncertów, jak z niektórych pełnych talentu kompozycji, w wigilję opuszczenia nas, daje koncert. Jak słyszeliśmy ma on odznaczać się doborem utworów; usłyszymy na nim wyjątki z „Koncertu Hummla", jednę z najcudniejszych sonat Bethowen'a, polonez, nokturn i mazurek Chopin'a, którego pan Hertz tak dobrze pojmuje i odtwarza, a wreszcie kilka własnych kompozycji, wśród których zwracamy uwagę czytelników naszych na niezmiernie oryginalny menuet — otóż i program. Wiemy również, że pani Nowakowska łaskawie przyrzekła swój współudział, wygłoszeniem wiersza, o którym jednak bliższych szczegółów mimo usilnych starań i zabiegów nie mógł się dowiedzieć wasz kronikarz; w każdym razie wpłynie to niepomału na urozmaicenie koncertu.

* * *

I na prowincji bawią się tak, jak w Poznaniu, wyłącznie umysłowo, tu i owdzie w większych miasteczkach dają przedstawienia amatorskie — szkoda tylko że brak nam ztamtąd sprawozdań. Mimo to doszła do nas wieść o jedném z takich przedstawień w Ostrowie 29 p. m. jak nam donosi korespondent, polskiém i niemieckiém na jednéj sali, choć Ostrów dość posiada polskiego żywiołu na to aby się mógł bawić samodzielnie. Z powodu jednak demonstracji wojennych Niemcy usunęli się od téj zabawy; grano więc tylko polską komedję p. Dobrzańskiego: „Tajemnica" — Godzimy się w zupełności na zdanie naszego korespondenta, który ubolewa nad tym brakiem samoistności polskich mieszkańców Ostrowa, w przekonaniu, że im bardziéj miasto jakieś ulega germanizacyjnym wpływom, tém większy ciąży na niém obowiązek, w podobnych zabawach, unikać zetknięcia z przeciwnym obozem.

* * *

Towarzystwo Przyjaciół Nauk podejmujące każdą myśl piękną a użyteczną, prawdziwą narodowi wyświadcza przysługę, zajmując się ogłoszeniem konkursu i przedpłaty w sprawie uczczenia Mikołaja Kopernika. Pierwsza zasługa poruszenia téj kwestji, tak niezmiernéj dla nas wagi, należy się niestrudzonemu w pracach narodowych ks. kanonikowi Polkowskiemu. On to w chwili, gdy nikt jeszcze nie pomyślał o zbliżającéj się czterechsetnéj rocznicy urodzin wielkiego astronoma, w dniu 22 lutego 1870 na sejmiku gospodarczym toruńskim wygłosił świetną mowę, która wszystkich przytomnych zagrzała do szlachetnego czynu, a niedawno wydał broszurę p. t.: „Słów kilka w sprawie uczczenia Mikołaja Kopernika" w któréj zebrał wszystkie szczegóły téj sprawy dotyczące. Szanowny mówca wyjaśniwszy powody swego przemówienia na zgromadzeniu agronomiczném, w te odzywa się słowa:

— „Potęgą teraz, dostojni panowie, potęgą w narodzie jest pamięć o wielkich ludziach i geniuszach, co jak gwiazdy błyszczą na zachmurzoném niebie naszém, bo kiedy burza dziejowa zaciemni niebo ojczyste i zamgli drogi życia narodu, kiedy niebios sklepienie czarnemi pokryje się chmurami, że i ciężko dojrzeć odrobiny błękitu, wtedy duch narodu w wspomnieniach przeszłości szuka dla siebie jakiéjś pogody, jakiegoś słońca, zwierciadła, w któremby się obaczyć a przypatrzeć mógł! Takiém zwierciadłem, takiém słońcem, które weszło na ziemi polskiéj, tu w mieście Toruniu, dnia 19 lutego 1473 r., domyślacie się panowie, nie kto inny jest, tylko nieśmiertelnéj sławy ziomek nasz wiekopomny Kopernik, którego, jak mówi poeta „Polskie wydało plemię, a który wstrzymał słońce — a wzruszył ziemię."

Mówca zwraca daléj uwagę słuchaczy na obowiązek i konieczną potrzebę godnego uczczenia pamięci Kopernika, mianowicie w obec zachcianek Niemców, którzy uparcie przywłaszczając sobie naszego rodaka, już od roku zbierają się w Toruniu w tak zwany „Copernicus-Verein," mający na celu wystąpienie w dniu rocznicy z hałaśliwą demonstracją.

— Ten więc (słowa mówcy), który przed trzema z górą wiekami otworzył światu zdumiałemu oczy, swym jedynie prawdziwie wielkim systematem, strącając ziemię z przywłaszczonego od tylu wieków stanowiska, i dowodząc, że nasz planeta, nietylko nie jest podstawą wszechświata i nie rządzi jego ruchem, ale po prostu jest jedném ziarnkiem prochu, ledwo dostrzeżoném w miljonie ciał od ojca wszechrzeczy stworzonych, —

ten, który nowy ruch i nowy kierunek nadał myślom ludzkim w poznawaniu ciał niebieskich, —

ten, który późniejszym astronomom dał popęd do odkrywania coraz nowych nieznanych światów, —

ten, który tak śmiało stawił czoło wszystkim znakomitościom naukowym, wierzącym w Almagesta Ptolomeusza jakby w ewangelję, że ziemia stoi, a słońce się obraca, —

ten, który miał przed sobą do zwalczenia średniowieczne dziwaczne doktryny i dziwaczniejszych jeszcze uczonych ówczesnych, —

ten, któremu cały plan i porządek dzisiejszéj astronomji wszystko zawdzięcza, —

ten mąż, którego bezstronny uczony świat europejski uznał za najgenjalniejszego męża, jaki wyszedł z łona narodu polskiego, a który dwudziestu miljonów Polaków ozdobą jest i najdroższą własnością — czy ma nam być znowu wydarty przez pisma, pseudo biografje, lexikony, marmury i bronzy pobratymców naszych?

W dalszym ciągu swéj mowy proponuje ks. Polkowski napisanie dokładnego, źródłowego życiorysu Kopernika, wydanie albumu pamiątek po nim pozostałych i wybicie medalu jubileuszowego. We wspomnianéj powyżéj broszurce zastanawia się szczegółowo nad temi pomysłami, a zwłaszcza do monografji Kopernika cenne podaje materjały.

Piękna myśl zacnego kapłana nie padła na opokę.

Komitet wybrany z grona obywateli okolicy Torunia oddał kierunek sprawy Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, które ze zwykłą w takich razach skwapliwością podjęło się zaszczytnego przedsięwzięcia. Rozpisano już konkurs na życiorys (honorarjum wynosi 500 tal.) a na opędzenie kosztów urządzono dobrowolne składki i przedpłatę wynoszącą tal. 6, którą przesyłać należy franco pod adresem dr. Mateckiego, skarbnika Towarzystwa, w Poznaniu. Prenumeratorzy za tę cenę odbiorą życiorys Kopernika, złożony mniéj więcéj z 15 arkuszy druku, monumentalne album, złożone z 18 już przygotowanych tablic, obejmujących wizerunki, medale i pamiątki po Koperniku, oraz odpowiedni medal i kartę zapraszającą na uroczyste kościelne nabożeństwo w Toruniu, w dniu rocznicy, t. j. 19 lutego 1873 r.

Może nie prędko będziem mogli dowieść podobnym czynem zbiorowym jedności i solidarności naszéj narodowéj — toż sądzimy, że cała Polska stanie jak jeden mąż, że okaże światu, jak umie czcić i szanować geniusze, których nam postronni zazdroszcząc, zabierali do swych panteonów...

* * *

W przeszłéj kronice doniosłem Wam o śmierci jednego z przywódzców powstania 1863 r. i obecnéj walki na zachodzie, dziś o innym mi wspomnieć wypada. Szczegóły śmierci jenerała Bosaka-Hauke wiadome już Wam są zapewne, gdyż nie dowierzając pierwszym pogłoskom, zbyt późno podajemy tę wiadomość.

Mówiąc o śmierci, jeszcze jedną zapisać tu muszę. Nie jest to ani Polak, ani zasłużony krajowi naszemu człowiek, ale Wasz dobry znajomy, piękne czytelniczki, może nie jedną skrócił Wam nudów godzinę — (w przypuszczeniu, że godziny nudów mają do Was przystęp). Tak, dnia 21go zeszłego miesiąca zmarł Ponson du Terrail, pozostawiając w spuściźnie światu kilkaset tomów. Większa część jego romansów była jedną długą powieścią, jak bajka Seherezady; zmarł mając lat 42, — szkoda, gdyby żył dłużéj i bajka byłaby dłuższą.

Korespondencja z Warszawy.

Warszawa, 1 lutego.

Plotkarstwo w Warszawie. — Recepcje u Deotymy i Przegląd Tygodniowy. — Rzut oka na prasę warszawską. — Zabawy, życie i jego charakter.

Stolica nasza w téj chwili przybrana, „niby szatą grudniową, śnieżną bielą szronu“ rozbalowana i znudzona wreszcie wszystkiém, staruszka mogilna rada bawi się ploteczkami, których tu tysiącami krąży. Widno jakaś czczość wewnętrzna, jakaś pustka głucha osiadła w tym duchu tak wielkim niegdyś..... a że natura, jak to jeszcze nieboszczyk Toricelli powiedział, boi się czczości, więc nic dziwnego, że w braku pożywniejszych rzeczy roją się tu całe tłumy skandalicznych opowieści lub plotek, niezmiernie małych i poziomych. A jakkolwiek tego rodzaju rzeczami gardzę z całéj duszy, przecież charakteryzując stolicę, nie mogę ich pominąć milczeniem. Więc niedawno cały świat literacki niezmiernie był zajęty ploteczką o wypadku jaki się wydarzył u Deotymy. Wiadomo wam zapewne, że wieszczka spadła dziś z piedestału wielkości, na który ją niepospolity choć zimny talent wyniósł; naśladując matkę swoją, otworzyła salony, w których przyjmuje cały tutejszy świat literacki i artystyczny. Kręcą się tam wprawdzie czasami figury nie należące do obu tych klas, których całą zasługą jest majątek lub imię historyczne... ale to do rzeczy nie należy. Nawiasem jednak muszę tu wspomnieć, że w salonach wieszczki polskiéj rozmowa toczy się po francuzku i dziwi mię niezmiernie, dla czego nie po niemiecku albo raczéj po prusku... byłoby to jakoś odpowiedniejsze duchowi czasu... Owóż pewnego pięknego wieczoru Deotyma była niezmiernie zgorszoną, że jedna część będących u niéj podówczas mężczyzn nie była ubraną ani w białe kamizelki, ani w białe krawaty... Na ten temat wypowiedziała długą i nader poetyczną orację o białym kolorze i zdziwiłem się nawet, że wkrótce nie ukazała się w szpaltach tutejszych pism jaka „pieśń biała“, bo niedawno mieliśmy kapitalnie nudną „pieśń błękitną“ — jeżeli więc może istnieć pieśń błękitna, dla czegóżby nie mogła być biała albo zielona albo żółta?...

Gdy się to stało, „Przegląd Tygodniowy“ pisemko niezmiernie żwawe i rycerskie, wprawdzie mające w sobie cokolwiek Donkiszonady, chwyciło niepospolitą ową gratkę i o białych krawatach napisało obszernie... Autor tego artykułu, właściciel ostrego pióra, niemiłosiernie wyszydził owo zamiłowanie w bieli i niewinności Deotymy... Warszawa przeczytawszy to, gwarzyć szeroko poczęła o białych krawatach, a co się daléj stało, już nie powiem bo by to zakrawało na plotkę... Inne pisma poważne i nudne jak lukrecja milczały... Już to na powagę chorujemy gwałtownie... nie mając jéj wewnątrz siebie, radzi okrywamy się staremi łachmanami, drapując je na sobie, żeby jakoś poważnie wyglądać. A przecież dziwne zjawisko — powaga ta widocznie niedołężna już staruszka nie może spłodzić nic na prawdę poważnego, ale za to czczości i nudy do sytu. Gdy weźmiesz którekolwiek z tutejszych pism, nic w nich wyczytać nie możesz, coby ci jaką korzyść przyniosło. Nic!... pustka i zarozumiałość kolosalna... Wprawdzie wina tego leży po części na milutkiéj cenzurze, która wszystko, co wybiega po za kordon zdrowia publicznego, nakreślony przez jéj kretynizm, wali pałką w łeb... Ale za to dbała o oświatę ogółu, każe na gwałt tłomaczyć i drukować moskiewskie powieści — a nawet dziewiczy „Bluszcz“ splamił swą sukienkę jakimś straszenie nudnym i głupim romansem z powiatu Szczygrowskiego (gdzie to leży, nie wiem). To też panienki nasze, prenumerujące „Bluszcz“ po większéj części nie czytały dziejów owego Hamleta moskiewskiego (bo taki jest tytuł téj powieści). Wprawdzie jak na teraz nie mają czasu, bo bale, koncerta, prelekcje... a! a! byłbym zapomniał o najważniejszéj rzeczy, bo o prelekcjach. W Towarzystwie Dobroczynności rozpoczął tegoroczną serję prelekcji pan Jan Maurycy Kamiński, autor pracy „O Prostytucji“, odczytem o doraźnéj nauce czytania. Prelekcja to była dobra, choć nie liczna — późniéj ma mówić pan Scheller „o zębach“ czy „uszach“, czy też piętach, bo nie wiem dobrze... W Zakładzie dla kobiet Szmita, głośna autorka 365 obiadów za 5 złotych, pani Ćwierciakiewicz rozpoczęła przed kilku dniami szereg odczytów o gospodarstwie kobiecém. Na pierwszéj prelekcji był taki tłok, że wasz korespondent musiał cały czas stać za drzwiami i nic więcéj nie słyszał jak tylko to zdanie, „że lepsza dziura jak plama“. Coby to znaczyło, nie potrafię wam wytłomaczyć. Wprawdzie moja narzeczona, jasnowłosa, która była bliżéj prelegentki utrzymuje, że jest to zdanie Franklina — nie wiem co jednak za związek może istnieć między dziurą a Franklinem. W każdym razie panie nasze, nawiasem powiedziawszy niezmiernie gospodarne (!?) z niecierpliwością i biciem serca oczekują dalszego ciągu tych prelekcji. Znam nawet takie, co zapomniały dla tych prelekcji o balach. Ach! bale!... litościwy rząd nasz wydaje bal w salach ratuszowych na rannych obu narodów... Jakie to szczytne!... To też naśladując szczyt drabiny społecznéj, każden kto może wydaje bale — wszyscy się

bawią, nawet dzieci w Zakładzie Froebla na Królewskiéj ulicy... Istnieje tu bowiem taki zakład, który temi czasy uorganizował tak zwany „Kinderbal“... młode pokolenie bawiło się podobno dobrze -- ja tam nie byłem, więc nie mówię swego zdania, ale powtarzam za innymi. Cała też moja dzisiejsza korespondencja jest tylko powtórzeniem wieści kursujących po Warszawie — nie odpowiadam więc za nią. A teraz do widzenia! P.

Przegląd literacki.

(Biblioteka Pamiętników i Podróży po dawnéj Polsce.)

Nakładem J. I. Kraszewskiego w Dreźnie wydaną została w roku 1870 Biblioteka Pamiętników i Podróży po dawnéj Polsce. Dotąd wyszło tomów trzy, z których pierwszy obejmuje dzieło p. n.: Polska r. 1793 według Fryderyka Schulca, drugi: Pamiętniki Hansa Schweinichena Szlązaka, a trzeci: Pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego, przełożone z francuzkiego przez Zaleskiego.

* * *

W czasach, kiedy potop powieści grozi zupełném zalaniem piśmiennictwa naszego, ukazanie się książki nie osnutéj na wypadkach dwojga zakochanych, staje się coraz większą rzadkością. Ci, których mózg jest tak silnéj formacji, iż ta ulewa nie rozwodniła go dotąd, ujrzawszy świeżo wydaną książkę „niepowieść“, dziwią się zrazu — a następnie przebiegając z podwojoną ciekawością jéj karty, doznają uczucia, jak gdyby się unosili w arce nad falami, zatapiającemi resztę świata.

Mówiąc bez przenośni, wyznać trzeba, iż ten szeroki fabrykat powieści, na który się nader często puszczają pisarze bez zdźbła talentu, bez żadnego funduszu nabytych wiadomości, bez poczucia smaku, szkodliwie oddziaływa na rozwój umysłowy wielkiéj masy czytelników a mianowicie czytelniczek. Książki, których zadaniem zajęcie jedynie wyobraźni, ubezwładniać muszą inne strony ducha, — wywierają téż ten sam wpływ, co na Chińczyków spożywanie opium, — a w dodatku jak każda nieustająca rozrywka, przeciągająca się zabawa, wyradzają niesmak i czczość w umyśle. Nie mamy tu zamiaru wytrącania z rąk czytelników wszystkich powieści, owszém nie brak w naszém piśmiennictwie takich, co mają wielką wartość literacką, co roztaczają przed nami cały świat dziejów serc ludzkich, co bawiąc wyobraźnię, kształcą umysł, uszlachetniają uczucie.

Pominąć nie możemy jednakże, iż jak w hygienie fizycznéj tak w i moralnéj, jedynym środkiem zaradczym przeciw czczości jest spożycie od czasu do czasu posilniejszego pokarmu. Jako jeden z tych środków polecamy nałogowym czytelnikom powieści powyżéj wspomniane dzieła, czytające się z zajęciem, nie obciążając zbytnio umysłu. Streszczamy je tu pobieżnie w nadziei zachęcenia do ich czytania.

* * *

Wkrótce po ogłoszeniu konstytucji 3 maja 1791 r. Niemiec z Inflant, Schulc, przybywa do Warszawy, gdzie zamieszkuje blizko przez dwa lata. Kto on był i po co przyjechał, nie nadmienia, zdaje się jednakże, iż był agentem politycznym dworu petersburgskiego. Kręcił się pomiędzy wyższą szlachtą, znał zblizka wszystkie znakomitości, również i króla.

Zapewne dopełniając swéj misji starał się dostać wszędzie. Miał przy tém sposobność rozpatrzenia się w instytucjach państwa, w składzie rządu, w charakterze narodu, w oświacie i obyczajach, zgoła we wszystkich objawach społeczeństwa. Porządkuje to systematycznie i układa w jeden obraz. W nim maluje jasnemi barwami ludzi wszelkich klas, od żebraka pod kościołem do najwyższego dygnitarza w kraju, — od dziewcząt czerpiących u studni wodę do damy osypanéj klejnotami. Przesuwa te postacie przed wyobraźnią czytelnika pełne ruchu i życia, wpośród gwaru i nieustannych zabaw, odbywających się po pałacach, kamienicach, ogrodach i ulicach stolicy. Najtrafniéj opisuje warstwy ludzi stojących na wyżynie społecznéj, którzy dziwnie przypominają Francuzów z téj samej klasy za ostatniego cesarstwa. Jak tu, tak tam czuć tę samą atmosferę demoralizacji, pragnienie zbytku i gorączkę używania.

Zarzucić można autorowi że zbyt uwydatnia ujemne i deprawujące strony naszego narodu, pomijając lepsze i szlachetniejsze. Mimo tego przyznać trzeba, że obraz przedstawiony jest trafnym, w ogólności nie zbaczającym od prawdy, a jeżeli ta nie zupełna, to raczéj dla tego iż przemilczał, co winien był powiedzieć. Z zajęciem czyta się to dzieło, rozciekawiające czytelnika, a obok tego ma wartość ono cennego materjału do historji obyczajów z owych czasów. J. I. Kraszewski uznając wartość dzieła, przełożył je z niemieckiego na polskie.

* * *

Pamiętniki Hansa Schweinichena przekładu z niemieckiego Hieronima Feldmanowskiego.

Schweinichen zapisuje w Pamiętniku wypadki życia swego od r. 1552—1602.

Był on synem radzcy dworu książąt na Lignicy z rodu Piastów, sam późniéj piastując ten sam urząd. Żył więc przez całe życie chlébem dworskim, pamiętniki jego głównie też zapełnione wydarzeniami książąt lignickich.

Mimo starożytnego herbu, dygnitarstwa ojca i dobrego mienia, w dzieciństwie swojém, w godzinach wolnych od nauki pasał Hans gęsi, lub wyszukiwał jaj po stodołach i chléwach z rozkazu pani matki. Wyrwało go z tego zatrudnienia przeniesienie na zamek książęcy, gdzie z młodszym bratem panującego pobierał nauki. Wyrostkiem, czynił służbę dworską przy boku księcia panującego Henryka, hulaki i marnotrawnika, jakiego dzisiaj trudno sobie wyobrazić.

Zamek jego przez cały rok zapełniali tłumni goście, zasiadając do suto zastawionych stołów jadłem i napojami, zakończając każdego dnia uczty tańcami. Wtenczas tylko nie rozlegała się po komnatach muzyka i wiwaty, kiedy książę z dworem obchodził wesele, chrzciny lub pogrzeb u którego ze szlachty albo zamożniejszych mieszczan. Nie zaniedbał także pospieszyć na każdą uroczystość odbywającą się na zamku którego z książąt szlązkich, odwiedzał dla pohulanek również panów polskich mieszkających na pograniczu. Straciwszy wszystko co było możebném, narobiwszy długów co się dało, nie znalazłszy więcéj kredytu, puścił się w trzysta koni bez grosza w kasie na wędrówkę do Niemiec. Przez dwa lata przejeżdżał je wdłuż i szérz, zatrzymując się po dworach i większych miastach. Gdzie mu się udało darmo ucztować, odjeżdżając przestawał na mniejszéj sumie pożyczonéj lub przyjętéj w darze, gdzie zaś musiał hulać o własnym koszcie, tam żył na kredyt, wyciskał pożyczki prośbą lub przebiegłością. Miasta zwłaszcza składały nieraz gościowi znaczne sumy byle go się pozbyć. Nabroił jednak tyle w téj podróży, iż został powołanym przed sąd cesarski. Schweinichen był nieodstępnym jego towarzyszem z funkcją podskarbiego, marszałka dworu, a w potrzebie posła. Przygody awanturniczego księcia, powiększéj czę-

ści wypełniają te pamiętniki. Opisy pełne werwy, przedstawiają upadek moralny gasnących na Szlązku Piastów, poprzednio przerodzonych w Niemców.

* * *

Pamiętniki Stanisła Augusta Poniatowskiego, przełożone z francuzkiego przez Br. Zaleskiego.

Król Poniatowski pozostawił wielotomowe pamiętniki w rękopisie w języku francuzkim. Po jego śmierci zaszłéj w Petersburgu, zabrano je i złożono w archiwum tajném cesarskiém. Część z nich zawierająca okres od r. 1732—1775 dostała się do archiwum Czartoryskich w Paryżu, z któréj wyjątki drukowano dawniéj po pismach czasowych, teraz zaś w całości przełożył ją Br. Zaleski. Przed nami leży tom pierwszy tego przekładu, zawierający pamiętniki Poniatowskiego do r. 1758; — tom drugi nie ukazał się dotąd z druku.

Poniatowski, zdaje się, jakoby miał zamiar, w tych pamiętnikach wyznać z sumiennością postępki i czynności całego swego życia. Dalekim jest jednakże od prawdy, jaka cechuje spowiedzi świętego Augustyna, od szczerości, z jaką Jan-Jakób Rousseau wypowiada swoje błędy i wszystkie zdrożności moralne. W pamiętnikach Poniatowskiego znać przedewszystkiém światowego człowieka, nawykłego do ukazywania jasnych stron swoich, starannie przysłaniając ciemne. Mimo tego czytelnik nabywa wyraźnego pojęcia o jego zdolnościach umysłowych i charakterze, który tak smutnie zaciężył na szali dziejów naszych.

Opowiadanie zaczyna od swego wychowania; pobierał je w domu pod przewodnictwem matki; sama mu wykładała znaczną część nauk, z których wyniósł umiejętność kilku języków, rysunek, fechtowanie i powierzchowne pojęcie ogólnych wiadomości naukowych.

Tak przygotowany, w ośmnastym roku życia wyprawiony został po raz pierwszy w podróż dla uzupełnienia edukacji. Nie żeby się zatrzymał dłużéj w miejscu jedném dla pobierania nauk, ale jedynie w celu widzenia obcych krajów, zawarcia stosunków i znajomości po dworach monarchów. Zwiedził znaczniejsze stolice Niemiec, Holandji, Anglji, Francji, zaopatrzony licznemi rekomendacjami do ówczesnych znakomitości w tych krajach. Edukacja ta wyrobiła z niego podług dzisiejszego wyrażenia — wytwornego salonowca — człowieka powierzchownego, u którego forma zastępuje zwykle treść, a umie nią tak zręcznie władać, przysłaniać niedostatki umysłowe, że nieraz zaimponuje głęboko uczonemu Poniatowski ubiegał się przedewszystkiém o zjednanie sobie sławy człowieka miłego w towarzystwie, stąd w podróżach swoich starał się o względy każdego ministra, jenerała, księcia, markiza, grafa, lorda każdéj pani młodéj czy staréj — byle jéj salony zapełniały się dostojnemi gośćmi. Zdania jego mieniły się jak kameleon, stosownie do osób, do których się zbliżał, a dotkliwe urazy umiał znosić z taką grzeczną cierpliwością, że ją nazwać trzeba — brakiem poczucia osobistéj godności. Opowiada to z wyraźném zadowoleniem, jako cechę dobrego wychowania.

Tak przygotowanego do życia, zabrał z sobą do Petersburga poseł angielski w orszaku ambasady. Poniatowski wkrótce pozawiązywał tu liczne stosunki, bywał na dworze, gdzie zwrócił na siebie uwagę Wielkiéj księżny, późniejszéj Katarzyny II, pięknéj, dwudziestopięcioletniéj kobiety.

Pobywszy blizko rok, odjechał na czas jakiś do Polski, skąd za tajemnym wpływem Katarzyny powrócił z tytułem posła dworu sasko-polskiego. Mało się troszczył o swoje poselstwo, zajęty głównie miłosną intrygą, którą opisuje w kolorach jaskrawych, a któréj następstwem było niestety — wyniesienie go na tron Piastów i Jagiellonów

Taki obraz wynosi czytelnik z tych pamiętników co do osoby króla, przekonywając się, iż panowanie nosi piętno jego charakteru kalane w dodatku mętami źródła, z jakiego pochodziło.

Jako pisarz nosi téż same cechy; pióro przyjemne, z lekkością dotyka poważnych przedmiotów, czyniąc trafne spostrzeżenia, urozmaicając opowiadanie licznemi anegdotami.

W czasie podróży miał sposobność poznania najznakomitszych głów ukoronowanych, Fryderyka II. Marję Teresę, księcia Oranji, Ludwika XV., Marję Leszczyńską. Skreśla ich portrety, również jak i osób z ich otoczenia z trafnością i talentem dobrego powieściopisarza. Obok tego opisuje obyczaje dworskie salony dam i uczonych francuzkich, które były ogniskiem nauk i smaku, zaczynających panować nad ucywilizowanym światem. Anglików zbadał ze znajomością psychologiczną; — mało się różnią dzisiejsi od owych, przed 120 laty znanych przez Poniatowskiego.

Dość obszernie opisuje i zastanawia się nad sprawami wewnętrznemi Polski, nad prawami sejmów sejmików i trybunałów, dokąd posyłano młodzież dla nabrania wprawy w rzeczach publicznych i zjednania przyjaciół. Całość ostatniego przedmiotu smutne czyni na czytelniku wrażenie; Polska stała się jakby folwarkiem, o którego zarząd toczyło proces między sobą kilkadziesiąt zamożniejszych rodzin, przyzywając pomocy obcych gabinetów; jedni francuzkiego, drudzy austrjackiego, trzeci pruskiego, a ostatni moskiewskiego. Ambasadorowie tych dworów ubiegali się różnemi drogami o przewagę swoich wpływów, pobudzając możnowładzców polskich do wzajemnych niechęci, których następstwem było rozrywanie sejmów, sejmików, — chaos we wszystkich sprawach które doprowadziły naród do zupełnego rozprzężenia, a w końcu upadku. W Petersburgu miał autor sposobność wywiedzenia się o wielu dworskich tajemnicach, obyczajach azjatyckich i barbarzyństwie carowych zasiadających na tronie po Piotrze I: Katarzyny, Anny kurlandzkiéj, Anny brunszwickiéj i żyjącéj podówczas Elżbiety. O ostatniéj powiada, że w porównaniu z poprzedniczkami odznaczała się nadzwyczajną łagodnością, ponieważ w chwili grożącego niebezpieczeństwa przy obejmowaniu tronu uczyniła ślub nie wydawania żadnego wyroku śmierci. Dotrzymała sumiennie przyrzeczenia, gdyż w rok późniéj panie Bestużew i Łopuchin za rozsiewane plotki o obyczajach carowéj, nie zostały stracone, — knutowano je tylko publicznie, a na rusztowaniu ucięto im języki. Ukochana Katarzyna wyznawała nieraz ze strachem przed Poniatowskim, jak się lęka, aby nie ściągnąć na siebie gniewu téj łagodnéj ciotuni. Zdaje się, że i zakochanego posła niejednokrotnie przechodziły dreszcze śmiertelnego strachu; — odetchnął w końcu swobodniéj ujrzawszy się w granicach Polski.

Pamiętniki Poniatowskiego pisane płynnie, gładko, lekko, jakby pogadanka towarzyska, dając poznać moralną stronę króla autora, są zarazem zbiorem ciekawych obrazów i wydarzeń z ośmnastego wieku. Niewątpliwie pisarz szczęśliwiéj władał piórem niżeli berłem, — jako pisarz piękniejszą zostawiłby po sobie pamięć i lepiéj byłby zasłużył się Ojczyźnie.

*

Skrzynka do listów.

Panu Sz... w Landzbergu. Jakkolwiek poczta miejscowa winna dostarczać zapisanych egzemplarzy naszego Tygodnika, wysełamy przecież cały zeszyt, którym Szanowny Pan rozporządzi wedle woli, skoro swój egzemplarz z poczty odbierze.

P. Zm... z nad Prosny. Zdań żadnych, zwłaszcza téż tak pochlebnych o piśmie naszém umieszczać nie możemy. Pożądaném byłoby, aby Szanowna korespondentka zechciała nam skréślić ruch umysłowy — nie Warszawy, w któréj mamy stałych korespondentów — ale okolic z nad Prosny.

Panu Dob... w Trzemesznie. Przesyłamy cały zeszyt styczniowy; — zbywającemi egzemplarzami rozporządź Pan podług własnego upodobania.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.